Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 89 (2185) 7 listopada 1972 r. Cena 50 gr

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ LAT TEMU...

... salwy krążownika „Aurora" obwieściły światu Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową,

... po 5 godzinach walki padł Pałac Zimowy, bolszewicy aresztowali ministrów Rządu Tymczasowego,

... rewolucyjne oddziały zajęły newralgiczne punkty ówczesnej stolicy Rosji,

... partia Lenina przejęła władzę państwową, głosząc hasła pokoju, chleba i ziemi — dla ludu!

Wyprawa do „gniazda orląt"

OGNIE NAD zatoką

Korespondencja własna z ZSRR

W mrok wchodzili w milczeniu. Dopiero po chwili, gdy zapaliły się na nieboskłonie dalekie, migające ogniki gwiazd, gdy ujrzeli przed sobą — ot, na odległość wyciągniętej ręki — naszą staruszkę Ziemię, z dziesiątka piersi wyrwało się długie „aaach!". A potem cały zastęp Koli Biena osłupiał z wrażenia, bo skądś rozległy się przejmujące tony muzyki elektronowej, a wśród gwiazdozbiorów ukazał się orbitujący kosmonauta Leonow. Unosił się w stanie nieważkości, majestatycznie płynął w przestrzeni, a z macierzystym statkiem kosmicznym łączył go elastyczny przewód. Piorunujące wrażenie! I to nie był film! To była rzeczywistość. Oczywiście, bez pustki kosmicznej, bez braku grawitacji i bez prawdziwego Leonowa. Ale widziałem w mroku, jak Kola bezwiednie łapie się za głowę, a obok mnie posapuje z emocji Jura Tarwiłow.

Tak, w Domu Lotnictwa i Kosmonautyki w całorocznym obozie pionierskim „Orlonok" nad Morzem Czarnym, jeszcze mocniejsze wrażenia przeżywał Kola Bien z dalekiego Sachalina oraz 1200 jego rówieśników — pionierek i pionierów — którzy przyjechali tu ze wszystkich zakątków RFSRR.

C. d. na str. 3

Przed meczem Górnik - Dynamo

„CZARNE PERŁY" KONTRA „FLAMENGO"

8 listopada — wielki mecz Górnika - Zabrze z Dynamem - Kijów. Spotkanie o wielką stawkę: ćwierćfinał Klubowych Mistrzostw Europy. Po niefortunnej przegranej w Kijowie (0:2) „Górnicy" pragną wziąć rewanż. Oczy wszystkich sympatyków popularnej jedenastki ze Śląska zwrócą się na Włodka Lubańskiego i jego kolegów. Ale zanim dojdzie do tego interesującego pojedynku, na śląski Stadion wybiegną „Czarne Perły" z Krosna, by zmierzyć się ze swoimi rówieśnikami z Błonia k. Warszawy — zespołem „Flamengo" — zdobywcą Pucharu „Trybuny Mazowieckiej". Tak więc najlepsze drużyny pucharowych rozgrywek „Świata Młodych" i „Trybuny Mazowieckiej" zaprezentują swe umiejętności śląskiej publiczności.

Mecz odbędzie się na stadionie w Chorzowie w najbliższą środę, o godz. 12. Pojedynek „zdobywców pucharów" zapowiada się niezwykle ciekawie.

Z.P.

Trzeba mieć sporo fantazji

BEATLESi z piwnicy

Trzeba mieć sporo fantazji, żeby bez instrumentów, bez znajomości nut, bez umiejętności grania na jakimkolwiek instrumencie... założyć zespół big-beatowy i organizować występy dla kolegów.

Fantazję tę posiada niewątpliwie trzech przyjaciół, mieszkańców jednego z domów przy ulicy Traugutta w Błoniu: Andrzej, Paweł i Zbyszek. Andrzej chodzi do VIII klasy, dwaj pozostali do VII.

Poza fantazją chłopcy posiadają bardzo ważną rzecz, a mianowicie własny lokal w postaci piwnicy rodziców Pawła. Co prawda w kącie leży spora sterta węgla, a półki okupowane są przez ape-

C. d. na str. 7

Krew darem życia

DO STACJI krwiodawstwa dzień i noc dzwonią telefony.

— Prosimy natychmiast o krew: A-Rh plus, dla robotnika, który uległ wypadkowi...

— Prosimy o krew dla dziecka chorego na białaczkę...

Na ten bezcenny lek czekają chorzy na przeróżnych szpitalnych oddziałach: chirurgii, chorób wewnętrznych, chorób zakaźnych, oddziałach nowotworowych i innych.

W wielu przypadkach tylko błyskawicznie dostarczona i przetoczona krew może ocalić życie pacjenta. Krew oddana przez jakąś bezimienną osobę dla drugiego, nieznanego człowieka. Honorowych dawców

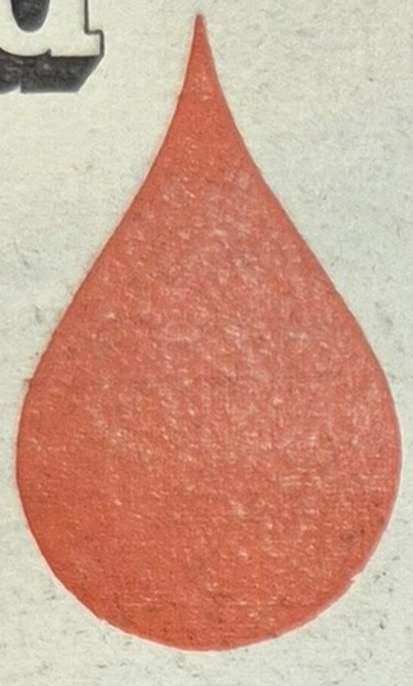

krwi, którzy anonimowo RATUJĄ życie innym ludziom śmiało nazwać możemy cichymi bohaterami. Oddawana przez nich krew, posiadająca w każdej swej kropli setki milionów cudownych, życiodajnych komórek, lecząca beznadziejne przypadki, przywracająca ludzi zdrowiu i życiu, stała się niezastąpionym lekiem w każdym szpitalu.

Ludzie wielkiego serca

- „Oddałam krew 17 razy z myślą o ratowaniu chorych i nieszczęśliwych ludzi..." — Zofia Komar.
- „Oddałam krew wiele razy, bo dzięki krwi dziecko moje żyje..." — Teodora Idasiak.
- „Oddaję honorowo krew: mam wiele współczucia dla chorych dzieci, zwłaszcza tych, które można uratować tylko krwią..." — Krystyna Filipek.
- „Krew oddałam 16 razy, w dowód wdzięczności za uratowanie mojego dziecka..." — Marta Bednarek.
- „Apeluję do wszystkich ludzi dobrej woli, aby ten czyn szlachetny był zrozumiały..." — Ludwika Gawel.

Kto może być dawcą krwi?

- Dawcą krwi może być każdy zdrowy człowiek w wieku od 18 do 60 lat.

W krwiodawstwie obowiązuje generalna zasada:

- **krew dawcy winna być pełnowartościowa i w żadnym wypadku nie może zaszkodzić biorcy,**
- **oddawanie krwi nie powinno zaszkodzić zdrowiu dawcy.**

Każdy zdrowy człowiek bez uszczerbku dla siebie może oddawać 3—4 razy w roku po 200—400 ml krwi.

Apel „Synów Pułku"

... Z ofiarności społecznej powstaje Pomnik-Szpital Centrum Zdrowia Dziecka... Wielka budowa! Wie o niej cały naród i docenia jej znaczenie.

My, „Synowie Pułku", ofiarujemy Pomnikowi-Szpitalowi własną krew, tworząc równolegle z nim trwały, żywy pomnik, BANK KRWI dla dzieci chorych z całego kraju, które będą w Centrum leczone.

Do czasu uruchomienia Centrum Zdrowia Dziecka krew oddana do Banku będzie wykorzystana przez Stację Krwiodawstwa na bieżące potrzeby szpitali dziecięcych w Polsce.

Jest nas w Warszawie stu. Was są miliony. Obok składek na budowę Szpitala-Pomnika złóżcie ofiarę z Waszej krwi...

✧

Tym apelem najmłodsi kombatanci II wojny światowej, członkowie Warszawskiego Klubu „Synów Pułku" zapoczątkowali BANK KRWI Centrum Zdrowia Dziecka. I pierwsi oddali honorowo własną krew na potrzeby lecznictwa dziecięcego. Za ich przykładem poszli już uczniowie starszych klas szkół średnich, harcerze, młodzież ZMS i ZMW, młodzi robotnicy i żołnierze. Oddana przez nich krew już teraz służy ratowaniu życia dzieci.

Mamo, będę żył...

Wtedy, gdy się to stało Zbyszek Idasiak miał sześć i pół roku. Była godzina 18.00 kiedy wdrapał się na konny wóz jadący na pobliskie pole po buraki. Na polnej drodze spadł i dostał się pod koła. Woźnica, 16-letni sąsiad, podniósł poturbowanego chłopca z ziemi i przywiózł do domu.

Stan chłopca był ciężki. Wezwano pogotowie, które natychmiast przewiozło malca do szpitala w Bielawie. Podczas badania stwierdzono uszkodzenie śledziony, pęknięcie trzustki i płuca. O godz. 19.30 przystąpiono do operacji, która przebiegła pomyślnie. **Zbyszkowi przetoczono 2,5 litra krwi.** Szóstego dnia chłopiec odzyskał przytomność.

Pierwsze jego słowa brzmiały: — „Mamo, ja już nie umrę!"

Nie! Bo była krew dawców. Krew jego matki, przetoczona bezpośrednio, i konserwowana krew bezimiennych ludzi wielkiego serca...

Z inicjatywy PCK

Pierwsze w naszym kraju stacje krwiodawstwa powstały w 1945 roku z inicjatywy Polskiego Czerwonego Krzyża. Do 1957 roku pobierano krew prawie wyłącznie od dawców płatnych. Od 1958 roku rozpoczął się w Polsce systematyczny rozwój krwiodawstwa honorowego. Obecnie krew od dawców honorowych stanowi 70 proc. — pozostałe 30 proc. to krew pobierana odpłatnie.

Polski Czerwony Krzyż prowadzi szeroką akcję propagowania krwiodawstwa honorowego. W działalności tej odwołuje się do uczuć humanitarnych oraz faktu, że krwiolecznictwo w Polsce jest dla wszystkich obywateli bezpłatne. Znaczy to, że każdy obywatel, jeśli zajdzie ku temu potrzeba, może otrzymać dla uratowania mu życia, krew bezpłatnie.

Honorowych, bezinteresownych dawców krwi ciągle przybywa.

Bank krwi

Od najdawniejszych czasów krew uważano za życiodajny płyn — płyn zdolny przywrócić choremu człowiekowi zdrowie — wzmocnić jego siły i pobudzić radość życia. Na przestrzeni wieków stosowano przeróżne sposoby leczenia krwią. Próbowano również przetaczania krwi — bezpośrednio od człowieka zdrowego osobnikowi choremu. Jeszcze do końca XIX wieku metoda ta była jednak niepewna i ryzykowna.

Dopiero w XX wieku po odkryciu grup krwi, po opracowaniu metody zapobiegania krzepnięciu pobranej krwi i jej konserwacji, stała się ona jedną z najpotężniejszych broni w ręku lekarza. Powstały pierwsze wielkie banki krwi.

Pobrana od dawców i przechowywana krew wielokrotnie ratuje ludziom życie — po wypadkach, operacjach, przy ciężkich schorzeniach. Istotnym kłopotem jest tu jednak nadal dość krótki — przy tradycyjnych metodach konserwacji — okres przechowywania pobranej krwi; wynosi on zaledwie trzy tygodnie.

W niektórych krajach istnieją metody znacznie dłuższego przechowywania krwi zamrożonej. Ostatnio naukowcy z warszawskiego Instytutu Hematologii opracowali pod kierunkiem prof. dr. Witolda Rudowskiego własną metodę zamrażania krwi w temperaturze —196 st. C. Krew taką można przechowywać już nie tylko kilka tygodni, ale kilka lat; po rozmrożeniu zachowuje ona w pełni swoje własności biologiczne. Wielu pacjentów skorzystało już z przetaczania krwi zakonserwowanej nową metodą.

Obecnie w Instytucie Hematologii w Warszawie stworzono pierwszy BANK KRWI — tak nazwano rezerwę, w której znajduje się krew wszystkich grup i typów w postaci zamrożonej. Jest to dopiero pierwszy etap; następnym będzie szerokie upowszechnienie metody konserwowania krwi zamrożonej. Umożliwi to bardziej racjonalne dysponowanie jej zasobami — po to, by krew, bezinteresownie oddawana, jak najlepiej służyła ratowaniu zdrowia i życia ludzkiego.

Kolumnę opracował:
JERZY KASPRZAK

- **PRZETACZANIE KRWI** czyli transfuzja polega na wprowadzeniu do żył lub tętnic chorego krwi odpowiedniej grupy, pobranej bezpośrednio od krwiodawcy lub konserwowanej.
- **Stacje krwiodawstwa** to samodzielne placówki konserwujące krew jak również wytwarzające leki krwiopochodne. Obecnie na terenie kraju takich stacji jest ponad 24.
- **Nasze nowoczesne lecznictwo** powinno mieć do dyspozycji około 200 000 litrów krwi rocznie. Aby zapewnić tę ilość krwi, należy pobrać ją od 1 000 000 dawców.

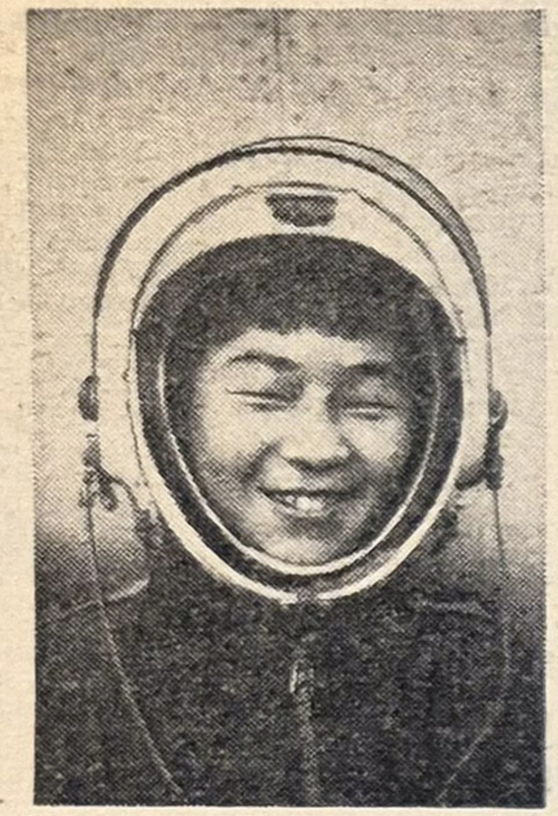

Kola Bien przyleciał do „Orlonka" z dalekiego Sachalina. Dziś jest z lotnictwem za pan brat.

OGNIE NAD zatoką

Który pionier nie chciałby zasiąść za sterami prawdziwego MIG-a w prawdziwym skafandrze wysokościowym?

C. d. ze str. 1

Przyjechali do „Orlonka" na 60-dniowy turnus. Odwiedziłem ich w październiku.

— Trzy doby leciałem tu z Sachalina samolotami — opowiada mi skośnooki Kola. — Pierwszy raz w życiu byłem w powietrzu. Ale to już było tak dawno! Od tej pory dwa razy w tygodniu chodzimy z moim zastępem na zajęcia do Domu Lotnictwa i Kosmonautyki. Najlepszy jest przyrząd treningowy — „prawdziwa" kabina samolotu, którą się naprowadza na samolot nieprzyjaciela ukazujący się na ekranie. Trzeba mieć opanowanie! Albo zasiąść w prawdziwym MIG-u w ubiorze lotnika-wysokościowca, to dopiero frajda! Dzisiaj mamy zajęcia na wirówce — jak kosmonauci. Przepraszam, musimy iść!

I zastęp Koli gęsiego pomaszerował do sąsiedniego laboratorium.

Osiem kilogramów wiosła

Stałem zamyślony na orlonkowskim molo. To prawdziwa przystań — 200 metrów od brzegu. Stąd doskonale widać cały „Orlonok". Tam daleko — biały dom drużyny „Gwiezdnej", obok — przeszklony blok „Śmiałych". A na wprost — jakby kołysząc się z boku na bok — wyłania się z morza zieleni budynek drużyny „Sztormowej". Wygląda jak okręt. Na górze — mostek kapitański, dzwon, maszty do bander.

Zagarnia mnie zastęp Rity Sincowej: — Prosimy do „Sztormowego", mamy dziś dyżur, pokażemy nasze gospodarstwo. Pokazują. W sypialniach — przepraszam, w kubrykach, bo tu wszystko ma okrętowe nazwy — stoją dwupiętrowe koje. Na taboretach — złożone po marynarsku autentyczne mundury, otrzymane od Floty Czarnomorskiej. Nawet stołówka nosi tu nazwę kambuza. Wszędzie czysto, drużyna „Sztormowa" jest wzorem dla reszty „orląt".

Tu wszystko zmienia się szybko, jak w kalejdoskopie. W ciągu kilku minut wypływamy na morze w szalupie. Jest godzina 17.15, słońce stoi nad zachodem, ale temperatura powietrza 23 st. C! Trzeci przy wiośle z prawej strony — Kola Bien, mój „stary" znajomy. Wiosło waży 8 kilogramów i drobny chłopak nie zawsze może sobie z nim poradzić, ale uśmiecha się, napina mięśnie.

— Z morzem też zetknąłem się tutaj pierwszy raz — mówi w chwili odpoczynku. — Mieszkam na wyspie Sachalin, ale daleko od brzegu...

I wtedy rozległ się sygnał

Był już wieczór, gdy po kolacji zastęp dyżurny odprowadzał mnie ze „Sztormowego". Szliśmy plażą, a twardy brzeg umocniony był tu jeszcze kamiennym murkiem. I nagle rozległ się ostry sygnał trąbki. Do czegoś wzywał, natarczywie, donośnie. Pionierzy podbiegli ku murkowi. Ja razem z nimi. Zwielokrotniona przez megafon, rozległa się komenda: „Załoga „Sztormowego" — do opuszczenia bandery Marynarki Związku Radzieckiego!".

Podniosły się ręce w pionierskim salucie. W świetle reflektora spływała majestatycznie w dół z masztu „Sztormowego" okryta chwałą bandera radzieckich marynarzy, autentyczna bandera jednego z okrętów.

— To jeden z naszych zwyczajów — wyjaśnił mi Jura Demetraszwili, instruktor żeglarstwa. — Tak jak na wszystkich okrętach naszej floty, opuszcza się u nas banderę według czasu astronomicznego zachodu słońca. I jak marynarze na okrętach — wszyscy pionierzy „Sztormowego" podbiegają wtedy ku jakiejkolwiek ścianie i zwróceni twarzą ku banderze oddają jej salut...

Natasza podnosi rękę...

Siedzieliśmy w kręgu — to też tradycja „Orlonka" — wokół ogniska. Urwisty brzeg porośnięty był rzadkimi drzewami i czerwona smuga, odbicie naszego ognia w wodzie, biegła na spotkanie drugiej smugi — białej, odbicia księżycowego światła. Biel i czerwień — pomyślałem. drogie nam barwy. I wtedy — nie wierząc własnym uszom — usłyszałem piosenkę. Znajomą, jakże bliską, polską. Piosenkę o sercu, które wyrwało sie z młodej piersi i poleciało za wojskiem. I chociaż pionierzy trochę przekręcali słowa, a i melodia była bardziej rozlewna — łzy same napływały do oczu i coś ścisnęło za gardło. Różne pieśni śpiewaliśmy tego wieczoru — partyzanckie, pionierskie, własne pieśni „orlonkowców".

Nagle podniosła rękę Natasza Kordowa, pionierka spod Smoleńska. Na ten gest wszyscy w „Orlonku" milkną, ten gest oznacza, że człowiek ma coś ważnego do powiedzenia i warto go posłuchać.

— Naszym przyjaciołom, harcerzom polskim, prosimy przekazać z dalekiego „Orlonka" braterskie pozdrowienia od radzieckich pionierów! I prosimy o listy...

Więc zgodnie z obietnicą podaję adres:

CCCP
Krasnodarskij kraj
Pionierskij lagier „Orlonok"
Klub
Internacjonalnoj Drużby

Piszcie tylko po rosyjsku! A z kolegami z „Orlonka" spotkamy się jeszcze na łamach „Świata Młodych". Obiecuję to z kolei wszystkim naszym polskim czytelnikom. Nie napisałem przecież ani o orlonkowskiej szkole (bez zadawania lekcji domowych i z wolną sobotą), ani o młodych pogranicznikach, ani o łowieniu ryb. A więc — do zobaczenia!

JAN STYKOWSKI
Foto autora

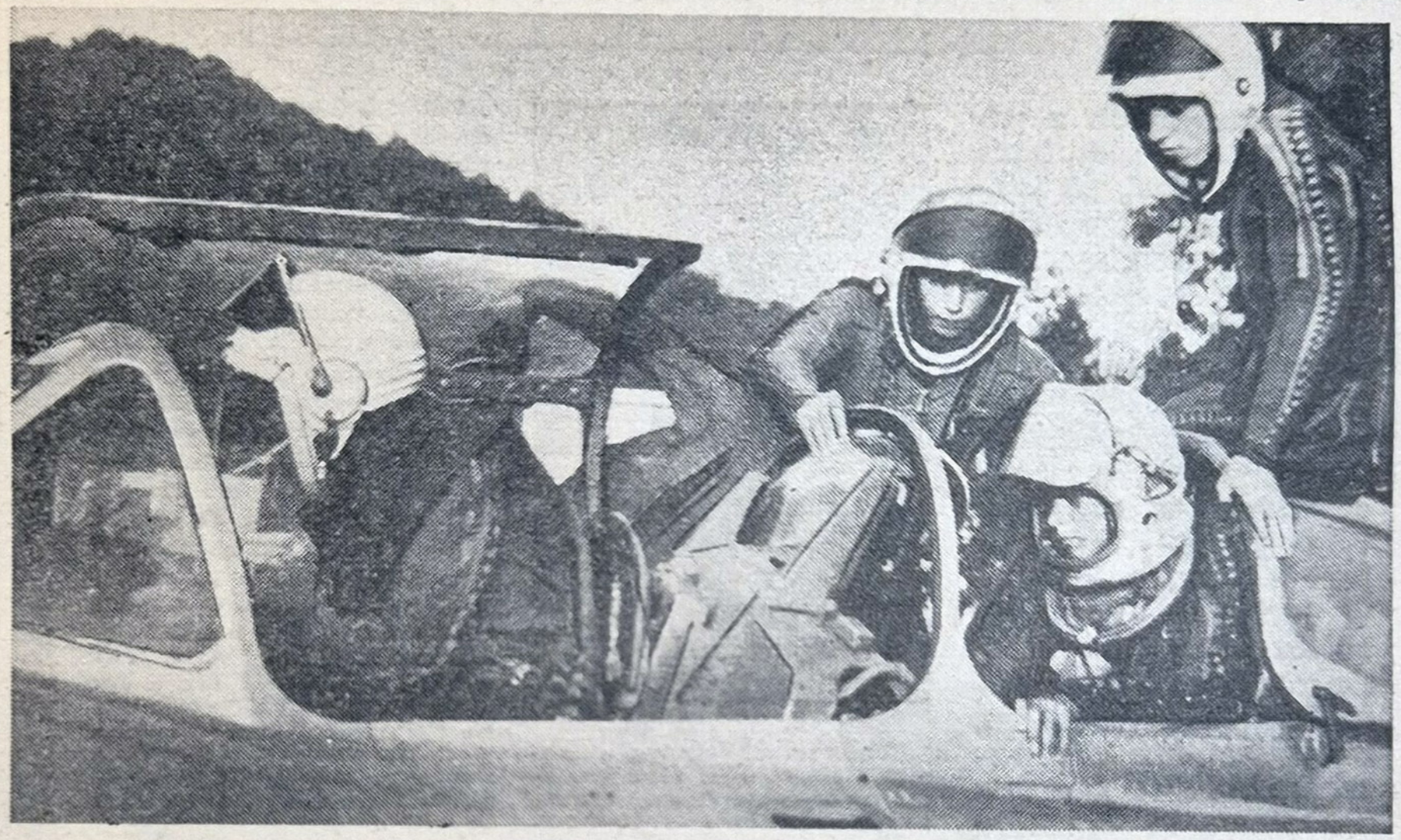

Pogranicznicy z „Orlonka" — o nich przeczytacie w jednym z następnych numerów „Świata Młodych".

PYTAJ — ODPOWIEMY

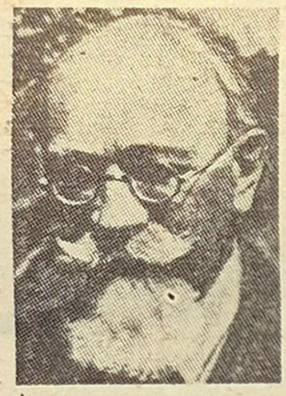

Michał Siedlecki, znakomity zoolog i znawca morza.

„Kilkakrotnie czytałem wzmianki o polskim statku „Profesor Siedlecki", przeznaczonym do badań oceanograficznych. Chciałbym wiedzieć coś więcej o człowieku, którego nazwisko nadano temu pływającemu laboratorium."

Janek Michalik z Łodzi

Profesor MICHAŁ SIEDLECKI

Profesor Michał Siedlecki (1873—1940) — jeden z inicjatorów badań morskich w Polsce, był rektorem Uniwersytetu w Wilnie, potem profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Reprezentował Polskę w Międzynarodowej Radzie Badań Morza. Sprawował funkcję prezesa Morskiego Instytutu Rybackiego.

Znakomity zoolog i znawca morza, w jednej ze swoich prac, opublikowanej na początku XX wieku, przyrównał morze do żywego organizmu, który posiada własną przemianę materii. Pogląd ten, wówczas nowy, obecnie jest przyjęty przez wszystkich ekologów. Prof. Siedlecki jest autorem wielu naukowych prac oraz książek powstałych w wyniku jego podróży do Egiptu na Jawę i Cejlon. Był członkiem Zarządu Międzynarodowego Biu-

Przekazywana z pokolenia na pokolenie tradycja głosi, że każda poważniejsza robota przy budowie mostu powinna rozpoczynać się albo we środę, albo w sobotę, gdyż tylko te dwa dni mogą uwieńczyć sukcesem ciężki trud mostowców. Nie wiem, ile w tym prawdy, faktem jest jednak, że właśnie w jedną z minionych sobót zjawiliśmy się na spowitym jesienną mgłą brzegu wiślanym, by uczestniczyć w początku kolejnego etapu powstawania mostu Łazienkowskiego w Warszawie.

Kierownik obiektu — pan Bronisław Grdeń — w razie potrzeby porozumiewa się z biurem przedsiębiorstwa za pomocą radiotelefonu. Przeprawianie się za każdym razem ze środka Wisły na jej brzeg zabierało zbyt dużo czasu.

Pod specjalne, ustawione w nurcie rzeki rusztowanie (z widocznymi na górze pomostami) wpłynął holownik z olbrzymim 65-tonowym ładunkiem. Jest nim budowana przez 6 tygodni w porcie handlowym na Pradze ogromna stalowa skrzynia bez dna. Teraz trzeba będzie... utopić to pudło w Wiśle po to, by mógł rosnąć następny filar mostu. — Bo filar mostu — wyjaśnia mi jeden z pracowników — to jedna z niewielu budowli, która rośnie z góry do dołu, a więc odwrotnie niż na przykład dom. Kiedy keson — bo tak nazywa się ta skrzynia — zostanie opuszczony na dno, z jego wnętrza wypompujemy wodę, aby mogli tam pracować ludzie. Ich zadaniem jest wydobywanie niepotrzebnego gruntu z dna rzeki. W miarę usuwania piasku i iłu rzecznego, keson — wypełniony sprężonym powietrzem — pod wpływem własnego ciężaru opuszcza się coraz niżej i niżej. Jego trasę w głąb ziemi wypełnia się betonem i tak właśnie rośnie filar.

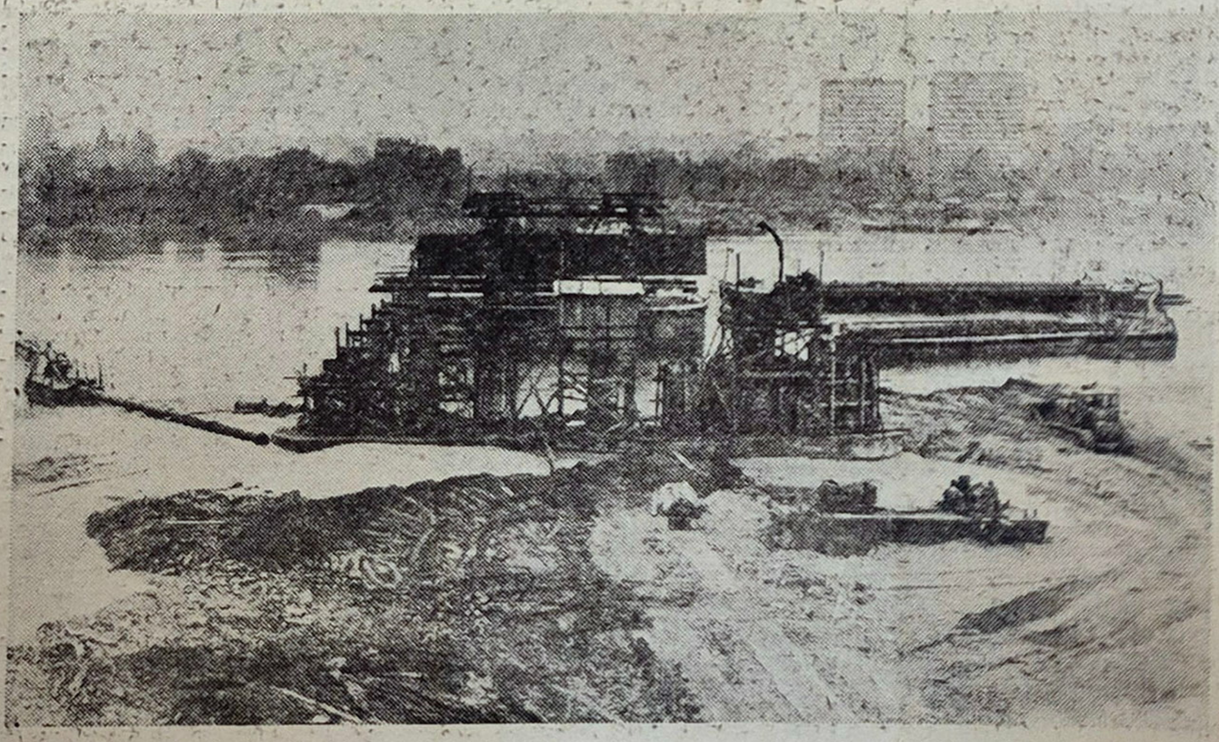

TAK POW

ra Przyrody w Brukseli, inicjatorem ochrony fauny morskiej.

Wybuchła druga wojna światowa, 6 września 1939 roku okupanci wkroczyli do Krakowa, ale ludzie nauki byli przekonani, że ich praca powinna być kontynuowana nadal, bez względu na wydarzenia polityczne. Tę pewność, że nic nie może przeszkodzić w prowadzeniu badań naukowych potwierdzało prawo międzynarodowe. Według konwencji haskiej, którą podpisały także i Niemcy, zbiorom naukowym nie mogło grozić żadne niebezpieczeństwo. Tym bardziej ludziom nauki. Akademia Krakowska rozpoczęła normalną pracę.

Na dzień 6 listopada (mija właśnie 33 rocznica) wyznaczono spotkanie uczonych z władzami okupacyjnymi, które chciały przedstawić „stosunek Rzeszy Niemieckiej do spraw nauki i uniwersytetów". Profesorowie i uczeni mieli się zebrać o godzinie 12, w gmachu Collegium Novum. Ponieważ nie sądzili, że wojna może mieć jakiś związek z nauką — przyszli. Wśród nich znalazł się oczywiście prof. Siedlecki, oraz inni uczeni o światowej sławie.

Zdążający na ów „wykład" profesorowie widzieli wprawdzie przed Uniwersytetem wozy policyjne i uzbrojonych SS-manów, ale nie przypuszczali, że może to znaczyć coś złego... Tymczasem, gdy wszyscy zgromadzili się na sali, usłyszeli, że... Uniwersytet tutejszy rozpoczął rok akademicki nie uzyskawszy uprzednio zezwolenia władz niemieckich. „Jest to zła wola! — krzyczał gestapowiec Müller, który pojawił się na sali nie zdjąwszy nawet hełmu. — Ponadto wiadomo nam jest — mówił — że wykładowcy byli zawsze wrogo nastawieni wobec nauki niemieckiej i z tego powodu wszyscy obecni, z wyjątkiem trzech kobiet, będą przewiezieni do obozu koncentracyjnego. Jakakolwiek dyskusja — dodał —lub wypowiedź na ten temat jest wykluczona. Kto stawi opór, będzie rozstrzelany".

W historii 600-letnej uczelni nie było jeszcze takiego wydarzenia... Krakowskie gestapo założyło kartotekę z adnotacją: „Akcja przeciwko profesorom Uniwersytetu", a profesorowie trafili do Sachsenhausen.

Profesor Siedlecki miał wówczas blisko 70 lat. Sam będąc głodny, dzielił się swymi nędznymi porcjami chleba z kolegami, twierdząc, że nie odczuwa głodu. Podczas porannych apeli dodawał odwagi innym, stawał zawsze w pierwszym szeregu, najbardziej narażonym na szalejący wicher ze śniegiem. Zima tego roku była bardzo mroźna.

W życiu codziennym miękki i łagodny, w nieludzkich warunkach obozowych profesor wykazywał ogromny hart ducha. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią zabrał głos na wieczorze poświęconym pamięci zmarłego kilka dni wcześniej profesora geografii — Jerzego Smoleńskiego.

Profesor Siedlecki zmarł w Sachsenhausen 11 stycznia 1940 r. na zapalenie płuc. (ag)

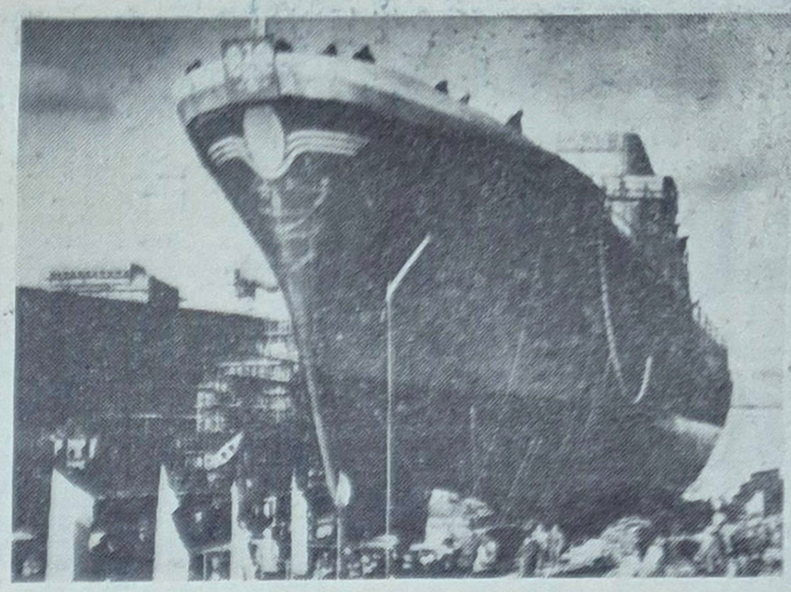

W Stoczni Gdańskiej im. Lenina przed dwoma laty zwodowano statek-laboratorium, przeznaczony dla Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni. Nosi on imię: „Profesor Siedlecki".

Foto: CAF

STAJE NOWY MOST

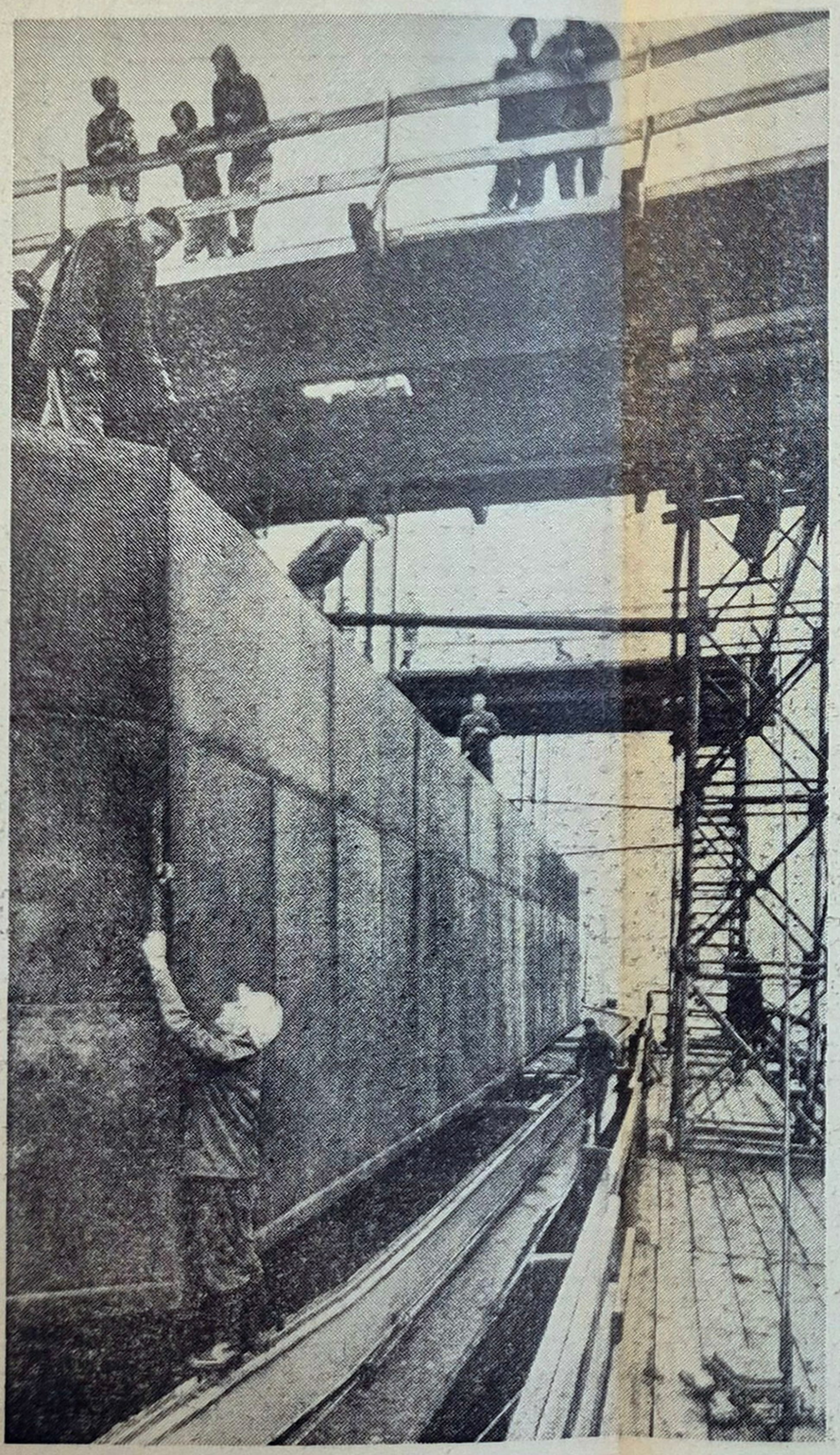

Trudno jednak utopić ładunek, który pływa na barce. Trzeba więc najpierw wywindować keson na taką wysokość, aby barka mogła spod niego wypłynąć. Do podnoszenia metalowego kolosa służą cztery wielkie śruby: dwie z jednego i dwie z drugiego jego końca. Operacja musi być prowadzona z ogromną precyzją, chodzi bowiem o to, by skrzynia nie straciła równowagi i nie przechyliła się na jedną stronę. Dlatego pracę wykonuje się ręcznie. Każde okrążenie umieszczonego na wysokim pomoście kieratu podnosi keson o jeden centymetr.

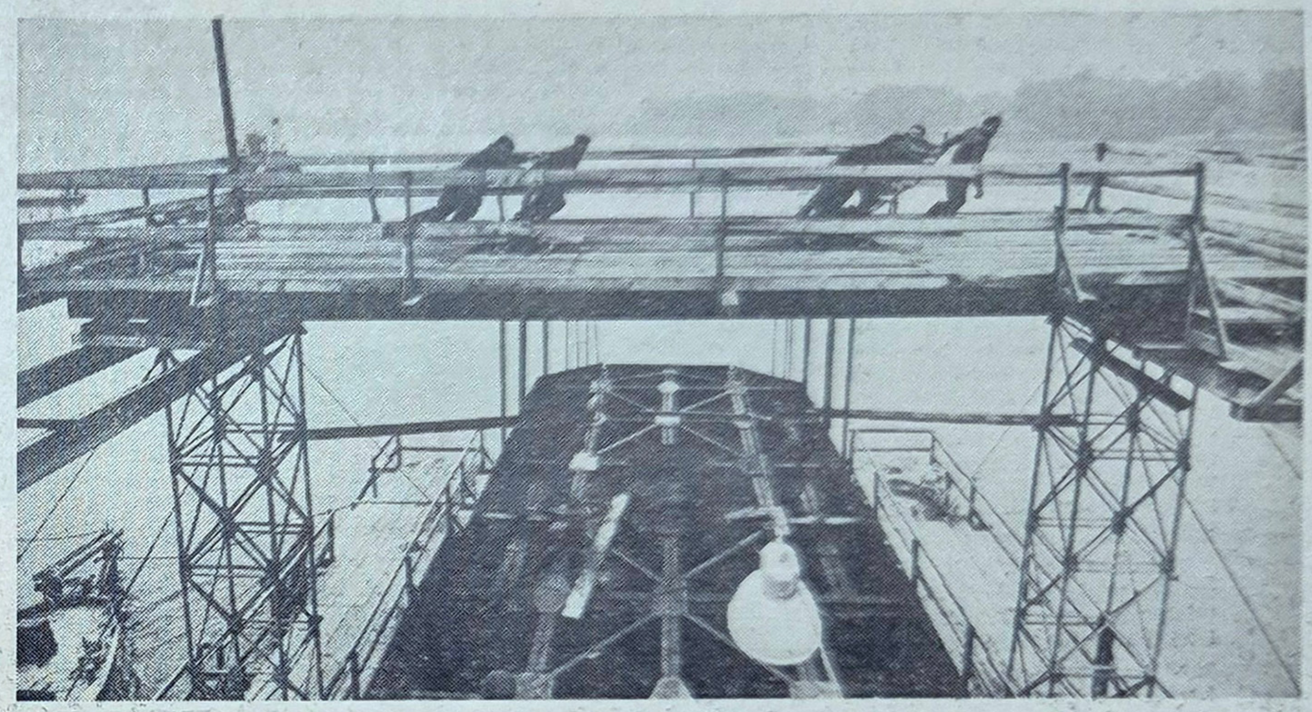

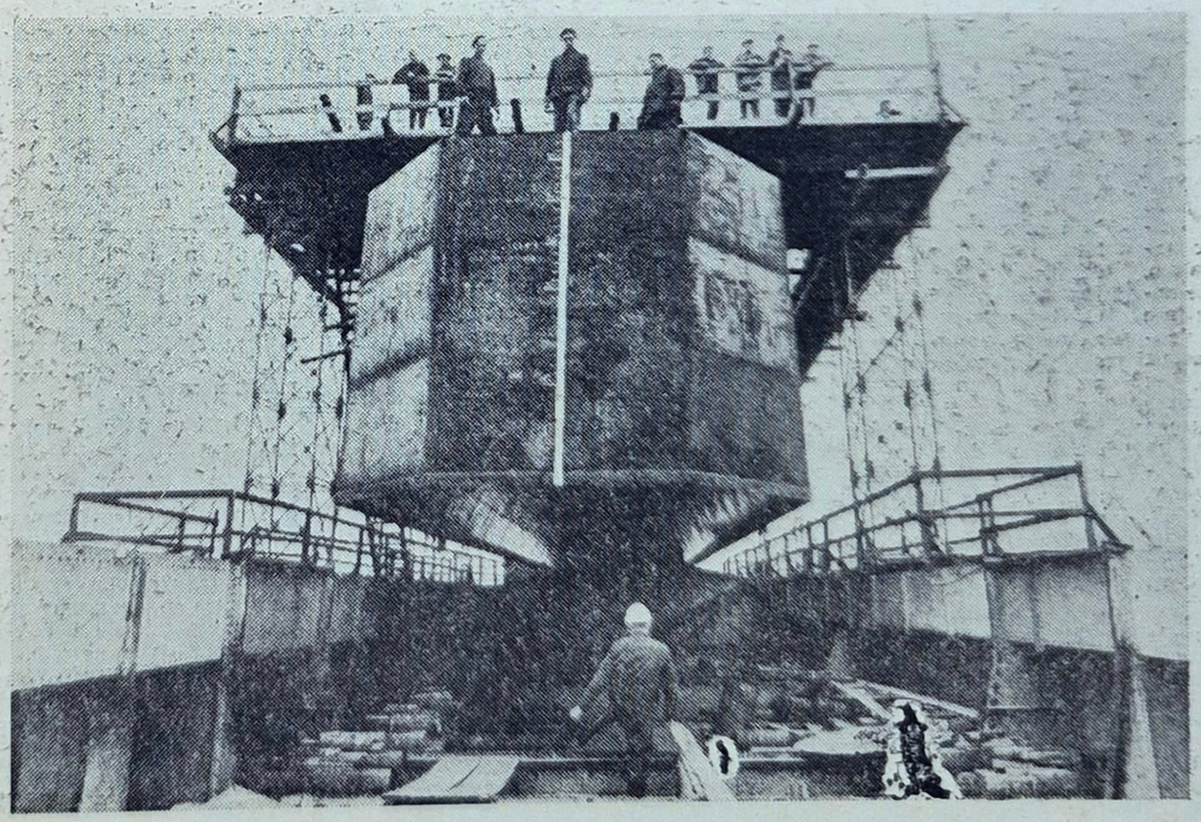

Po upływie prawie czterech godzin keson został podciągnięty na wysokość 2 m. Starszy majster Stanisław Szymański daje znak i barka powolutku wypływa spod swego ładunku. Dla nas jest to jedyna okazja obejrzenia komory kesonowej, która jest już pomalowana na biało i zaopatrzona we wszystkie potrzebne światła. Normalnie może w niej pracować do 20 ludzi.

Tekst:
T. DROGA-KUPCZYŃSKA

Zdjęcia:
K. ADAMOWSKI

TELEFON ZAUFANIA

STANISŁAWA PLATÓWNA

19

Rys. Jan Rocki

Minęło południe. Dzień zrobił się nieoczekiwanie jasny i słoneczny, ostry wiatr przegnał chmury, zapachniało prawdziwą, choć spóźnioną wiosną.

Stefan siedział na ławeczce przed domem, jeśli domem można było nazwać to coś, sklecone ze zmurszałych cegieł, desek i papy, wyciągnął przed siebie nogi obute w jakieś rozdeptane, o wiele za duże chodaki i z rozkoszą wygrzewał się na słońcu. Stary, a właściwie pan Antoni, opuścił go przed godziną i poszedł w kierunku, widniejących w oddali zabudowań.

— Dziś dwudziesty siódmy — powiedział — listonosz przyniesie moją rentę. Zameldowany jestem u właścicieli tej budy i tego pola i oni mi odbierają emeryturę. Kupię też coś na obiad. Wrócę koło drugiej, a ty posiedź sobie, odpocznij.

Stefan przeciąga się leniwie, dobrze mu tu, na tej ławce, w ciszy i spokoju. Daleko huczy gwarne miasto, przewalają się tłumy ludzi, przepełnione tramwaje, przepełnione autobusy, a tu tylko wiatr wygrywa melodie w uschłych badylach i wysoko pod chmurami dzwonią skowronki.

— Chyba zostanę tu — myśli Stefan — pan Antoni znajdzie mi pracę, przecież trzeba zarabiać na swoje utrzymanie, nie sposób wisieć staruszkowi na karku. A szkoła? No cóż, na razie koniec z nauką, musi mi wystarczyć osiem klas, może później...

Stefan poruszył się niespokojnie, zmarszczył brwi. Jakoś niemile uderzyła go myśl o konieczności porzucenia nauki. Chciał przecież studiować medycynę, obaj z Romkiem postanowili, że będą lekarzami, że wybiorą chirurgię. Ze złością uderza obcasem w miękką ziemię. Trudno, nie pójdzie na medycynę, nie zostanie lekarzem. Świat nic nie straci na tym, że będzie o jednego chirurga mniej! A zresztą... jeszcze nic nie wiadomo, jak ułoży się życie, może za parę lat będzie mógł zdać maturę i jednak studiować medycynę, są przecież stypendia, domy akademickie. To są odległe sprawy, teraz ma ważniejsze problemy. Musi zarobić, zapracować trochę pieniędzy i kupić sobie buty, jakąś bluzę, koszulę na zmianę, skarpetki.

...Kiedy oni zdarli ze mnie płaszcz, wiatrówkę, nic nie czułem, nie pamiętam. Ilu ich w końcu było? Z początku chyba czterech, potem doszli jeszcze dwaj. Wstrętne łobuzy! No tak, mogłem się spodziewać, że w nocy, na takim odludziu nie spotkam harcerzy ani członków Towarzystwa Miłośników Wrocławia. Trzeba było wyjść przez bramę, tak jak wszedłem, a nie pchać się w zarośla. Tylko, że przy bramie też ktoś był, słyszałem wyraźnie jakieś kroki...

Wstrząsnął się na wspomnienie ubiegłej nocy.

Wypadł z domu podniecony, prawie nieprzytomny i pędził pustymi ulicami na oślep, nie zastanawiając się dokąd idzie. W pewnej chwili zobaczył z daleka błyskające, niebieskie światło milicyjnego radiowozu. Oprzytomniał, stanął. Pomyślał, że zachowuje się idiotycznie, zwraca na siebie uwagę lecąc jak wariat, już jakieś spóźniony przechodzień obejrzał się za chłopcem uprawiającym sprinty w środku nocy, na pustej ulicy. Na szczęście radiowóz skręcił w przecznicę, ale przecież za jakiś czas mógł nadjechać następny patrol.

Schylił się, by poprawić niedokładnie zawiązane sznurowadło i poczuł twardy ucisk pistoletu, wsuniętego za pasek. Zadrżał. Był szalony, niepoczytalny, jak mógł zrobić coś podobnego?! Gdyby zatrzymano go i znaleziono przy nim broń... Rozejrzał się niespokojnie. Ulica była pusta, tylko po jednej jej stronie stały domy, po drugiej chodnik biegł wzdłuż ogrodzonych siatką ogrodów działkowych. Nie zastanawiał się długo, przebiegł jezdnię, wyjął pistolet i przerzucił go przez płot. Usłyszał pacnięcie ciężkiego przedmiotu o miękką ziemię i odetchnął. Przynajmniej o to jedno nie musiał się martwić.

Znalazł się na ulicy Grabiszyńskiej przy „żyletkowcu" prawie równocześnie z nadjeżdżającą „szesnastką". Mimo spóźnionej pory tramwaj był dość pełny i właśnie dlatego Stefan zdecydował się wsiąść. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nie zapamięta jego wyglądu.

Na szczęście miał trochę drobnych w kieszeni, starczyło mu na bilet. Pomyślał, że „szesnastka" jedzie aż za Stadion Olimpijski, na Sępolno. To była długa trasa, tramwaj przecinał całe miasto z południowego zachodu na północny wschód. To doskonale, im dalej znajdzie się od domu, tym lepiej.

Nagle uprzytomnił sobie, że nie tak dawno jechał z ojcem tą samą trasą. Wysiedli na ostatnim przystanku i poszli ulicą Monte Cassino na cmentarz. To była chyba jakaś rocznica, ojciec złożył kwiaty na grobie Ponurego, wokół mogiły stało kilkunastu mężczyzn.

„Właściwie dlaczego wybrałem Ponurego? — myśli Stefan wpatrując się w kałużę odbijającą intensywny błękit nieba — niewiele o nim wiem, słyszałem tylko, że był dowódcą oddziału partyzanckiego gdzieś w Kieleckiem. Ojciec nie miał nic wspólnego z Ponurym, po konspiracyjnej wsypie ukrywał się jakiś czas u babci Wiktorii, potem poszedł do oddziału Podkowy. Skończył tam podchorążówkę, przybrał pseudonim „Klim".

Właśnie wtedy na platformie tramwaju Stefan postanowił zakopać zabrane z domu odznaczenia przy grobie Ponurego. Wprawdzie przez moment zawahał się, gdy wysiadłszy z tramwaju zaczął iść wyludnioną ulicą i potem, gdy znalazł się w pobliżu cmentarza. Czy naprawdę musiał to zrobić teraz, w nocy? Wiatr kołysał nagimi ramionami wysokich drzew, w zaroślach coś szumiało, zdawało mu się, że słyszy jakieś kroki, szepty, ale nic nie widział. Noc była pochmurna, na niebie ani jednej gwiazdy, ani skrawka księżyca.

Przemógł się, stłumił odruch lęku, musi to zrobić właśnie teraz! Oderwać się natychmiast od wszystkiego, co go jeszcze łączyło z domem, potargać nici, które wciąż ciągnęły z powrotem, zagłuszyć głos powtarzający uparcie: „Wróć, zanim będzie za późno".

Biegł przez cmentarz na oślep, potykając się o mogiły, zawadzając o krzyże, na szczęście dobrze pamiętał, w którym miejscu leży Ponury.

Zabrał z domu finkę, przydała się. Przy pomocy mocnego ostrza wykopał dość głęboki otwór, wrzucił weń owinięte w chustkę odznaczenia i szybko zasypał ziemią.

Podniósł się z klęczek z poczuciem zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, ale już w następnej chwili ogarnął go niesmak i zwątpienie.

Czy rzeczywiście słusznie postąpił? Czy miał prawo tak postąpić? Kto go upoważnił do sądzenia własnego ojca?!

Stefan z satysfakcją przydeptał poruszoną ziemię, zatarł butem ślady. Przecież nie ojcu odebrał odznaczenia, lecz obcemu człowiekowi. W dodatku otrzymał je „Klim", a „Klima" już dawno nie było.

Postanowił, że opuści cmentarz krótszą drogą, nie miał ochoty iść znowu między grobami do głównej bramy. Poszedł w kierunku zarośli obrastających cmentarz od strony nadodrzańskich wałów. I tam właśnie...

Stefan zrywa się z ławki, zaczyna spacerować szybkim krokiem po wyłożonej kamieniami dróżce. Idiota, niedorozwinięty pajac! Żeby dać się tak głupio zaskoczyć! Co prawda napastników było czterech, co prawda zarzucili mu na głowę coś miękkiego, z czym nie sposób było walczyć, co krępowało ruchy, co prawda podcięto mu nogi...

... Powiedzieli, że zrobili to dla draki, nie mieli względem niego złych zamiarów, po prostu nudzili się siedząc w krzakach i gdy zobaczyli wychodzącą z mroków cmentarza postać, przyszło im na myśl, by postraszyć amatora nocnych spacerów. Potem, gdy zaczął się szamotać i na oślep wymierzać ciosy, musieli przyłożyć mu parę szturchańców, by się uspokoił i nie psuł im zabawy.

...Nieśli go dość długo, trzymając płachtę za cztery rogi, kołysali, podrzucali, słyszał ich przyciszone głosy i szum wody — widać szli brzegiem kanału. Nie wiedział, jak długo trwała ta wędrówka, w końcu przestał się szamotać, zaniechał oporu. Niech się dzieje co chce, wszystko jedno, kto go niesie i dokąd. Zatrzymali się wreszcie, puścili jednocześnie rogi płachty, upadł na ziemię bezwładnie jak worek.

C.d.n.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 4362 A-64

Zespół w komplecie. Paweł Śliwa, ten w środku, wykonuje niektóre piosenki w języku angielskim. Uczył się tego języka przez cały ubiegły rok.

BEATLESi z piwnicy

C. d. ze str. 1

tyczne „wecki", ale na środku pozostało sporo miejsca.

W tej chwili ustawione są tam krzesła i stołki — własnoręcznie wyremontowane przez chłopców — z naklejonymi na nie numerami: 1, 2, 3, 4 i 5. Pięć bowiem miejsc liczy widownia. Na zaproszeniach, które wysyłają kolegom, poza programem występu, jest numer miejsca. Jak w prawdziwym teatrze!

Z nazwą dla zespołu nie mieli kłopotów. Po prostu postanowili nazwać się „Beatles II", nawiązując do tradycji słynnego angielskiego zespołu, który się rozpadł.

Gorzej było z instrumentami. 5-letnia siostra Pawła, Ania, dostała od rodziców malutką gitarę. Paweł „wycyganił" od niej tę zabawkę. Drugą podobną gitarę znalazł w swoim domu Zbyszek. Przerobili je nakładając na nie prawdziwe „dorosłe" struny. Jedna z nich — to teraz gitara prowadząca z 8 strunami — cztery basowe G 4 i cztery wysokie H 2, druga — gitara basowa, która posiada sześć strun G 4. Perkusja stworzona została jeszcze bardziej „fantazyjnie" — dwa malutkie dziecinne bębenki, kawałek blachy przymocowanej do patyka, futerał skórzany od wielkiego starego aparatu fotograficznego i bryła zielonego plastiku, która kiedyś była modelem samochodu. Wszystko to razem po uderzeniu pałeczkami, wydaje bardzo zabawne i głośne dźwięki. Długo trwało zanim nauczyli się nad tymi dźwiękami jakoś panować. Teraz swoje utwory opracowuja na podstawie nagrań radiowych i płytowych. Mają w repertuarze 21 piosenek, w tym kilka z własnymi słowami i muzyką.

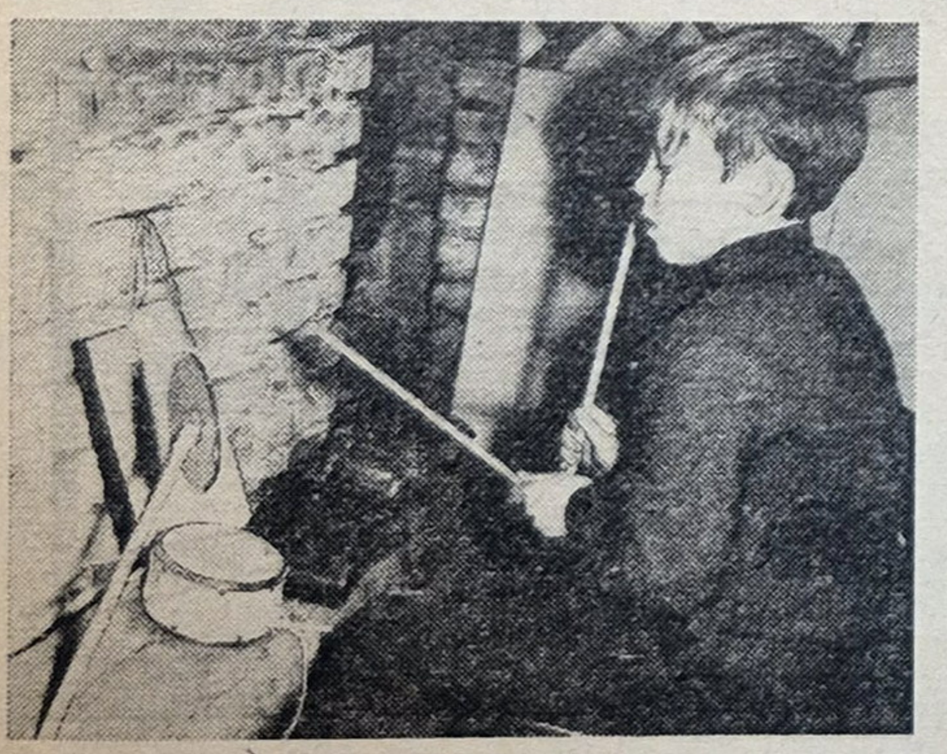

Zbyszek Adamski przy perkusji. Raz w bębenek, raz w futerał, raz we wrak plastykowego samochodu, raz...

Koledzy z podwórka patrzą na „Beatlesów II" jak w obrazek. Chodzą więc na występy, klaszczą, wołają o bis. I mimo że działalność „Beatlesów II" trudno przy najlepszych chęciach nazwać dobrą muzyką, to chyba najważniejsze jest, że i Andrzej, i Paweł, i Zbyszek i ich koledzy, wszyscy wierni kibice sukcesów i porażek, są chłopakami z fantazją. Stać ich i na pomysły i na ich realizację. Szkoda, że nie znalazł się nikt, kto by im mógł choć trochę pomóc, powiedzieć: to się robi tak, a to tak; pokazać, wytłumaczyć. Bo ile czasu można bazować na samej tylko fantazji?!

EWA KŁOSIEWICZ

Foto: W. Juzwik

WDZIANKO DLA SŁONICY

SŁONICA TORGAS, występująca w cyrku, który rozbił swój namiot w uralskim mieście Miass, dotkliwie marzła z powodu panujących chłodów. Postanowiono więc uszyć dla niej ciepłe wdzianko. Zamówienia podjęła się lokalna spółdzielnia krawiecka. Nie była to sprawa łatwa, ponieważ w „talii" Torgas miała 4,5 metra! Wdzianko uszyto według wszelkich prawideł sztuki krawieckiej. Zużyto na nie 30 metrów brezentu, 45 metrów watoliny oraz 19 metrów innych materiałów. W celu skompletowania stroju, tamtejsi szewcy zrobili dla słonicy miękkie, ciepłe „buciki" o długości 80 centymetrów.

(jk)

Lew Leszczenko

PODCZAS tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Sopocie reprezentant ZSRR — Lew Leszczenko — należał chyba do najbardziej „rozrywanych" i obleganych przez tłumy — solistów. Ujmował wszystkich prostotą, serdecznością i naturalnością zachowania.

Nie uchylał się od zaproszeń na rozmaite dodatkowe koncerty. Dawał recital swych piosenek w Stoczni Gdańskiej, w Klubie Studenckim, w Porcie dla marynarzy... Nagrywał w radio i w telewizji...

Z tej też racji trudno było mi złowić nieuchwytnego Lwa Leszczenkę na chwilę rozmowy.

Właściwie rozmawiałam z nim co dzień, ale ta rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

— Lew, kiedy będziesz miał dla mnie trochę czasu? — pytałam go w „locie".

— No dawaj zawtra, posle obieda! Charaszo?

— Charaszo! — odpowiadałam nie podejrzewając, że nazajutrz odbędę z nim identyczny dialog umawiając się znów na „zawtra".

Wreszcie zrezygnowałam, ale właśnie wtedy on sam odszukał mnie i powiedział rozbrajająco, jakby nigdy nic:

— Nu kak, budiem rozgawariwat? — i poświęcił mi całe dwie godziny ze swego niespokojnego, sopockiego czasu.

Dowiedziałam się od niego, że lubi śpiewać piosenki, które go wzruszają i dają jakieś przeżycia. Śpiewa chętnie piosenki młodzieżowe, bo odnajduje w nich radość życia i optymizm. Interesuje się także jazzem, bo jest to muzyka upajająca.

Każdą piosenkę stara się interpretować po aktorsku, bo czuje się także aktorem, gdyż ukończył Moskiewski Instytut Teatralny.

Przez trzy lata po ukończeniu studiów Lew występował jako aktor w Teatrze Muzycznym w Moskwie. Wkrótce zauważył, że lepiej się czuje jako pieśniarz niż jako aktor.

No i zaczął śpiewać i odnosić sukcesy.

A gdy przyszły wyjazdy zagraniczne na Festiwale Piosenki, stał się popularny nie tylko we własnym kraju.

Zdobył pierwszą nagrodę na IV Wszechzwiązkowym Konkursie Estradowym, oraz III nagrodę na VIII Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Złoty Orfeusz 72" w Bułgarii (Słoneczny Brzeg). W 1972 roku do swych dotychczasowych nagród dorzucił jeszcze I nagrodę (wespół z Andrzejem Dąbrowskim) w Dniu Międzynarodowym Sopockiego Festiwalu za utwór: „Ja nie był z nim znakom".

Nagrał kilka płyt w wytwórni „Melodia". Największym swym przebojem pt.: „Dwadzieścia trzy godziny lotu" nazwał swój najnowszy long-play, gdzie prezentuje także piosenkę tytułową.

Obecnie Lew Leszczenko występuje i nagrywa z czołowymi orkiestrami moskiewskiego radia i telewizji.

Gdy na zakończenie naszej rozmowy spytałam Lwa, czego życzyłby sobie najbardziej, odpowiedział:

— Chciałbym przyjechać jeszcze raz do Polski i wziąć udział w waszym Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Byłem już na nim bodajże 3 lata temu i do dziś wspominam z sentymentem serdeczny nastrój, jaki tam panował. Muslim Magomajew, który także występował w Zielonej Górze, ma podobne wspomnienia. Obaj chcielibyśmy tam się znaleźć ponownie. Kto z nas pierwszy was odwiedzi, przyszłość pokaże.

— My widzielibyśmy chętnie was obu, bo obaj macie w Polsce gorących wielbicieli.

— O... ja znacznie mniej niż Muslim. Muszę to wszystko nadrobić — zakończył z uśmiechem Lew.

A. WIELGOŁAWSKA

Foto: K. Adamowski

Odcinek 2

W Rosji rozgorzała rewolucja. Trwała walka o władzę radziecką, a na dalekim Zakaukaziu, w przepastnych wyżynach, górskie plemiona zachowywały pierwotne zwyczaje, okrutne przesądy. W niedostępnej przez pół roku Chewsuretii oddalonej od Tbilisi o 70 km, „zemsta rodowa" niszczyła całe rodziny.

ZEMSTA RODU KABUNAURI

wg. powieści H. Bobińskiej opr. B. Tylicka rys. J. Rocki

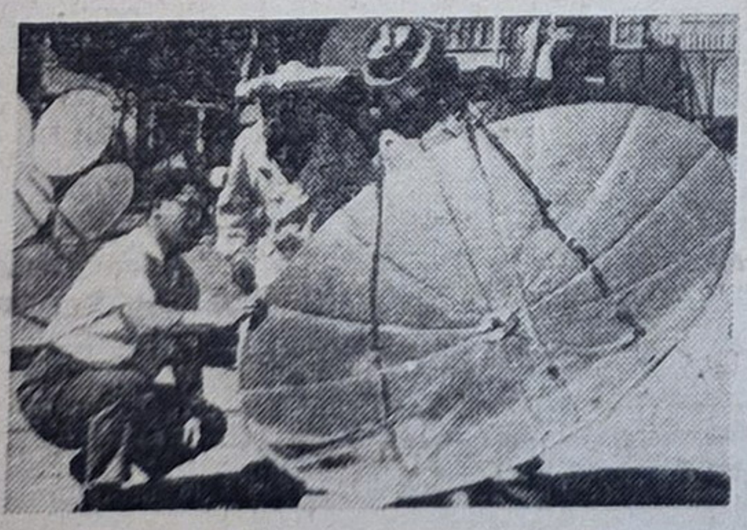

SŁOŃCE GOTUJE HERBATĘ

Naukowcy z oddziału heliofizyki Instytutu Fizyczno-Technicznego Akademii Nauk Uzbeckiej Republiki prowadzą szerokie badania związane z wykorzystaniem energii słonecznej w gospodarce narodowej. Pod kierunkiem doktora nauk technicznych Gijasa Umarowa zakończono prace nad budową słonecznych ogrzewaczy do wody oraz kuchni słonecznych.

W kuchni słonecznej można przyrządzić gorącą potrawę, zagotować wodę. Główną częścią takiej kuchni jest odbłyśnik paraboliczny ogniskujący promienie słoneczne w określonym punkcie, gdzie się znajduje naczynie z ogrzewaną cieczą. Przyrządy te znajdą zastosowanie w Azji Środkowej, zwłaszcza wśród pasterzy przebywających z dala od gospodarstw, wśród pracowników wypraw geologicznych itp.

W uzbeckim mieście Bucharze podjęto budowę fabryki aparatury heliotechnicznej. Będzie ona produkować rocznie 45 tysięcy słonecznych kuchni i 50 tysięcy metrów kwadratowych elementów do grzania wody.

Na zdjęciu: pracownicy naukowi instytutu przy słonecznej kuchni.